

PIOTR
NESTEROWICZ

NIE
PRA
MIEĆ

MANDO

1

Weronika nie jest godna prawdy, którą niesie. Brakuje jej rąk, by zachować odpowiednią postawę. W lewej trzyma torbę, przez ramię przewiesiła torebkę, w prawej ściska tekturową teczkę. A teraz właśnie ta prawa jest potrzebna, by wyciągnąć parasolkę. Powinna postawić neseser, schować teczkę, wyciągnąć parasol, ale ziemia jest grząska, trawa mokra, a torba nowa, skórzana. Trzeba inaczej. Teczkę wsuwa pod lewe ramię, sięga do bagażu, szczęśliwie automatyczna parasolka leży na wierzchu. Otwiera. I niczym w skeczu wszystko się sypie. Wiatr zawiewa pod parasol, Weronika traci równowagę, teczka sunie w błoto pod nogami. W ostatniej chwili dociska ją dłonią do biodra.

Stoi teraz na poboczu mokra i zmarznięta. A Pawła nie ma. Nigdy nie mogła zrozumieć, jak jej brat robi karierę w biznesie, skoro słowo „punktualność” zna jedynie ze słownika. Całe życie się spóźnia. Tylko raz pojawił się za wcześniej – kiedy został poczęty przed ślubem.

Ale to nie jego zasługa. Rodzice wzięli tylko cywilny, a jedyne zdjęcie, jakie z niego widziała, przedstawia twarz, bo pełnej sylwetki panny młodej nie wypadało uwieczniać.

Samochodowy klakson buczy przeraźliwie. Weronika podrywa głowę i dociska łokieć do żeber, bo teczka, na chwilę uwolniona, znowu zjeżdża w dół. Na skraju drogi stoi szara limuzyna, a przez uchylone okno wygląda Paweł. Weronika podchodzi do samochodu – dobrze, że nie zatrzymał się przy kałuży – i ponownie czuje, że brakuje jej rąk. Chwilę stoi zdezorientowana, podczas gdy Paweł mówi coś ze środka. Wreszcie wsuwa rączkę parasola pod szyję i dociska ją policzkiem. Szarpie klamkę. Dobrze, że odblokował drzwi. Pomaga sobie kolaniem, wpycha torbę na siedzenie, a na wierzch kładzie teczkę. On to komentuje, ale poirytowana Weronika nie słyszy, co mówi. Wreszcie może się pozbyć parasola. Składa go i celowo nie strzepuje, tylko wsuwa mokry za fotel.

Siada z ulgą z przodu. W środku jest ciepło. Paweł czeka rozparty za kierownicą. Lewy łokieć opiera o drzwi, a prawą dłonią obejmuje gałkę skrzyni biegów. Automatyecznej, dostrzega Weronika. I już jest jasne, czemu nie rozpoznała samochodu i czemu on przybiera taką pozę. Ma nową furę. Wypasioną: skórzana tapicerka, drewniane panele, nowoczesny kokpit z wielkim ekranem

mrugającym stonowanym błękitem. Weronika nie da mu satysfakcji. Siedzi w milczeniu, wciąż w kurtce, aż wreszcie do Pawła dociera, że jego nowy benefit nie doczeka się docenienia. Wrzuca bieg i rusza, mocno dociskając gaz.

– Co tam w ministerstwie prawdy?

– Spóźniłeś się.

– To moja wina, że się przenieśliście na ten wygwizdów?

– Na miejsce, w którym najefektywniej można zbudować halę na archiwum.

– No zobacz. A ja myślałem, że wy tylko prawdą żyjecie, a tu takie ekonomiczne myślenie.

– Znowu się czepiasz. – Po całym dniu w nerwach nie ma siły się kłócić. Ściąga kurtkę i rzuca ją na tylne siedzenie. – Patrz lepiej na drogę i nie pędź tak, przede mną nie musisz szpanować.

– Wcale się nie popisuję – obrusza się. – Dobra droga, dobry samochód, więc jadę.

– Na drodze trzeba myśleć. A nie tylko gaz dociskać i popisywać się nowym autem. Zasada ograniczonego zaufania. Znasz taką?

– Jakbym ojca słyszał. – Paweł kręci głową.

Tata rzeczywiście jeździ ostrożnie. Nie tylko ostatnio, kiedy przekroczył siedemdziesiątkę i uznał, że boi się prowadzić po zmroku. Zawsze podczas jazdy dochowywał należytej staranności. Jak wtedy, gdy przyjechał

do niej, do akademika, zaraz na początku pierwszego roku studiów.

Weronika przypomina sobie zdarzenie sprzed dwudziestu lat.

Wówczas też była końcówka listopada. Wcześniej tata dzwonił na recepcję, by się zapowiedzieć. Cierpliwie, bo dozorcynie nie chciały wołać do telefonu. „To nie hotel”, narzekały. Na parking przed akademikiem wjechał uważnie. Jakby sobie wcześniej wszystko zaplanował, powoli minął zaparkowane auta, przy pierwszym wolnym miejscu się zatrzymał. Perfekcyjnie. Nie musiała się wychylać z okna, z zamkniętymi oczami widziała, jak wrzucił wsteczny, obrócił się na siedzeniu, łokieć oparł na prawym fotelu, kierownicę skrzył do oporu, puścił sprzęgło, dodał gazu i wjechał tyłem. Starannie.

Wysiadł, zapalił, z bagażnika wyciągnął torbę, zamknął klapę, sprawdził drzwi, zaciągnął się jeszcze raz i zarzucił torbę na ramię.

– Pamiętasz, jak kładł na kierownicy obie dłonie, na godzinie dziesiątej i drugiej? – Głos Pawła wdziera się w jej wspomnienia. – Jeśli któraś się zsunęła, poprawiał chwyt i upewniał się, czy leżą właściwie. Potem szybko spoglądał na drogę, czy aby nic mu nie umknęło.

Wówczas Weronika nie zeszła do taty na parter akademika. Zatrzymała się w połowie schodów, tak że widziała

korytarz, ale w każdej chwili mogła się schować. Niezręcznie było go spotkać przy recepcji na oczach kobiet, do których od tygodnia wydzwaniał. Szczęśliwie był weekend i większość studentów wyjechała. Nie wiedziałyby, jak się witać z nim na ich oczach, czy z dystansem, skoro była już studentką uniwersytetu, czy przytulając się mocno, bo od jej wyjazdu z domu minęły dwa miesiące.

Radość, jaką czuła, kiedy zobaczyła, jak manewrował przed akademikiem, ulotniła się, zanim doszedł do schodów.

– No chodź, nie stój tak – pogoniła go, gdy zatrzymał się przed nią. Torbę opuścił na podłogę, zastukały słoje.

– Co tam, córko? – zapytał. Zawsze tak mówił, imienia Weronika używał rzadko. Lubiła to „córko”. „R” przyjemnie brzmiało, jakby kot mruczał. Tylko dla niej tak je wymawiał, jedynie w córce kryło się podobne „r”, trochę gardłowe, wibrujące, ciepłe. Ale w holu zrobiło się głośniej, ktoś wszedł do akademika, więc rzuciła tylko, że idzie otworzyć, że to na samej górze, i poleciała. Pokój miała na czwartym piętrze. Powinna była poczekać, zapytać, czy mu pomóc ze słoikami, ale tamci w holu już dochodzili do schodów.

– Czy on tak ciągle robi, kiedy skręca? – zastanawia się głośnie Paweł. – No wiesz, kiedy zjeżdżał w lewo, spoglądał w boczne lusterko nie tylko oczyma. Poruszał

głową, jakby dawał sygnał innym, że czuwa. Całym sobą skłaniał się w lewo, wpatrywał w odbicie w lusterku, a potem jeszcze dalej się przekręcał, czy aby ktoś nie znalazł się w martwym polu widzenia. Zmieniał bieg, puszczał hamulec, kręcił kierownicą, obie dłonie cały czas na niej. Tyle razy mi powtarzał, żadnych przekładańców, kiedy robisz manewr, musisz czuć kierownicę obiema rękami. Rzucał jeszcze dwa spojrzenia, w przód i tył, zjeżdżał w lewo, prostował koła i wyłączał migacz. A, kierunkowskaz właśnie, ten w skodzie, bo syreny nie pamiętam, pikał głośno i matka się irytowała, że włączał go tak wcześniej, pik, pik, pik, pik, pik.

Weronika nie słucha go, zatopiona we wspomnieniach. Czekala na tatę przy uchylonych drzwiach do pokoju. Kiedy na korytarzu rozbrzmiały kroki, wychyliła się, zawołała go i zaraz się schowała. Była zła. Podwójnie. Na niego, że szedł z tymi słoikami, a wcześniej konferował przez telefon z kobietami na recepcji, i na siebie, że się go wstydziła, zamiast się cieszyć z odwiedzin. Przecież ciepło jej się zrobiło, kiedy kierowniczka powiedziała, że tata w sobotę przyjeżdża. I gdy go zobaczyła, jak starannie parkował.

Wszedł do środka i zrobił dwa kroki w głąb. Dużo więcej miejsca nie miał, pokój był wprawdzie trzyosobowy,

ale wolnej przestrzeni między tapczanami zostawało niewiele. Postawił torbę. Widziała jej ciężar. Świadomość, że go na tych schodach zostawiła, jeszcze bardziej ją rozjątrzyła. Nigdy przecież nie był szczególnie mocny. Wysoki, żyłasty, silny w dłoniach, ale w ciężarach miękki.

– Ciasno tu macie – skomentował, rozglądając się. I dopytał, czy koleżanek nie ma. A gdy wyjaśniła, że pojechały do domu, dodał z wyrzutem, że ona została.

Od razu poczuła się w obowiązku, by się usprawiedliwić, że nie mogła wyjechać, bo przecież się zapowiedziała. Wówczas po raz pierwszy zauważyła, że ramiona przyginał do przodu. Od kiedy się garbił? Czy nabrał tego zwyczaju po jej wyjeździe? Stara prawda, pomyślała wtedy, trzeba dłuższej nieobecności, by dostrzec rzeczy najbardziej widoczne.

– No tak. Mogłaś przyjechać. To przecież tylko cztery godziny pociągiem – pokiwał głową i nie wiedziała, czy potwierdził, czy zaprzeczył. Zaczęła mu tłumaczyć, uprzedzała przecież, że do świąt nie planuje wracać do domu, ale on jej nie słuchał. – Są dwa ekspresy bezpośrednio, sprawdziłem, czy odjazdów nie zmienili – powiedział, grzebiąc w kieszeni kurtki. Kieszenie zawsze miał pełne biletów, kartek z listami zakupów, pudełek zapalek, później plastikowych zapalniczek. Wyciągnął

niedużą kartkę w linie i mówił dalej: – Jeden jest rano, po piątej, to za wcześnie może, ale ten popołudniowy po szesnastej pasuje idealnie, w piątek o dwudziestej byłabyś na głównym, podjechałbym po ciebie.

Bezsilnie spoglądała na kartkę wyrwaną z zeszytu. Zauważył spojrzenie i dodał, że zostawił jej zeszyty szkolne, dzięki czemu nie musiał kupować notatnika. Świadomość, że zatrzymał je, przejrzał, odłożył zapisane na półkę, a kilka czystych zostawił na biurku, była dla niej trudna. Podobnie jak słuchanie tego, co relacjonował dalej. Że z pralni odebrał kapę, jej ulubioną. Zrobił porządek w pokoju, ale rzeczy na półkach i książek nie ruszył, tylko odkurzył. I pojechał na dworzec, by sprawdzić rozkład jazdy. Na wszelki wypadek, bo przecież nowy mieli wprowadzić dopiero pod koniec grudnia, więc ten, który leżał na półce w domu, jak zawsze przyniesiony przez mamę z urzędu, był aktualny. Weronika chciała się przytulić, ale zamiast tego powtórzyła, że przyjedzie na święta. Ponownie pokiwał głową i mruknął, żeby nie złościła się na matkę, bo już jej przeszło.

Nie mogła wtedy do niego podejść. Duża szara parczana torba ze słoikami odgradzała ich niczym mur. Zorientował się, że patrzy na nią, więc schylił się i zaczął w niej grzebać. Wieczka świeciły na złoto między gazetami.

Pokazywał słoik po słoiku i opowiadał, że pomidory zrobił na dwa sposoby, pierwszy to sałatka na ostro, drugi jako sos pomidorowy, idealny do makaronu. Weronika zaprotestowała, że jada w stołówce, ale podobnie jak chwilę wcześniej ją zignorował. Jakby oboje nadawali na falach, które stykały się jedynie chwilami.

– Ogórki kiszzone, jak lubisz, konserwowych ci nie wkładałem. Tu są kabaczki, a tu cukinia, już podsmażone i doprawione, wystarczy rzucić na patelnię – wymieniał po kolei, a ona zastanawiała się, skąd brał warzywa, skoro nie mieli działki. Tych w sklepie nie uznawał, bo sztuczne i pryskane, a ludziom na targu nie ufał, bo jego zdaniem oszukiwali na każdym kroku. Jeździł do znajomych za miasto?

Powtórzyła, że ona w akademiku nie gotuje. Trzeba chodzić do wspólnej kuchni na końcu korytarza, gdzie jest brudno i ciemno. A on dalej, o dżemach. O jej ulubionym truskawkowym. No i o powidłach. Zachwycał się, że takich śliwek dawno nie było. Powiedziała mu wtedy, że nie ma gdzie tego trzymać. A kiedy on niezrażony kontynuował, że wybrał dla niej te, co do których był pewien, że się udały, bo pierwsza porcja wyszła zbyt gorzka i zostawił ją w domu, przerwała mu zdecydowanie.

– Wszystkie powinieneś zostawić – rzuciła i dopiero wówczas podniósł głowę. Przestał odwijać gazety.

– To źle wybrałem? – zapytał, a Weronika poczuła się winna. Chciał dobrze, ale przecież mówiła mu dwa miesiące wcześniej, kiedy wyjeżdżała z domu, że nie weźmie słoików do akademika.

Podchwycił to natychmiast.

– Dlatego teraz je przywiozłem, żebyś nie musiała dźwigać.

Ale wiedział, że nie o to jej chodziło. W ręku trzymał słoik z dżemem truskawkowym. Unosił go i opuszczał, jakby ważył ciężar i znaczenie ukryte w środku.

– Myślałem... – mruknął jeszcze. Sięgnął po gazetę. Z powrotem zawinął słoik. Potem kolejny. Jeden za drugim w papier i do torby. Skurczył się przy tym tak, że nie było widać jego wzrostu, zostały tylko szczupłość i żyłastość zwinięte w kłęb.

– Och, tato – powiedziała wówczas i uklękła przy nim, a on odpowiedział tym swoim:

– Co tam, córko?

– Kurwa! – Krzyk Pawła wrywa Weronikę ze wspomnień.

Brat nogą napiera na hamulec. Pochyla się przy tym tak, jakby całym ciałem chciał docisnąć pedał. Paczka z chusteczkami leci na przednią szybę, torebka wciska

się pod nogi, z tyłu torba uderza o fotel, pas wpija jej się w obojczyk. Samochód podskakuje, odbija w prawo, kołysze się raz i drugi, aż wreszcie staje na poboczu.

- Będę miała siniaka – mówi Weronika.
- Kurwa! – Paweł ciągle zaciska dłonie na kierownicy. Weronice robi się ciemno przed oczyma ze złości.
- Mówiłam ci, żebyś uważał!
- Widziałaś? Dziad jakiś albo baba za kierownicą.
- Gapisz się na boki zamiast patrzeć na drogę!

Paweł dopiero teraz spogląda na nią.

- O co ci chodzi?
- Że nas prawie zabiłeś!
- Ja?! Zgłupiałaś? Widziałaś, nawet kierunkowskazu nie wrzucił!

Weronika wyciąga spod nóg torebkę. Komórka, klucze, pomadka do ust wypadły i leżą w kącie dywanika.

– Zawsze należy zakładać, że inni na drodze zachowają się nieodpowiedzialnie.

- Boże, przestań mi prawić kazania.

Weronika spogląda za fotel.

- O Jezu – wzdycha.

Niezapięta torba poleciała do przodu, odbiła się od fotela i ugrzęzła na podłodze. Na tapicerkę i dywaniki wypadły bielizna i rajstopy. Oraz teczka. Jej zawartość się rozsypała.

– Co? – Paweł zaczyna się obracać.

– Nic, torba się przewróciła. – Białe strony kserokopii biją po oczach. Weronika sięga, by je zebrać, ale robi to zbyt gwałtownie i pas ją przytrzymuje. Krzywi się, gdy czuje ucisk na obojczyku. Jeszcze większy siniak, myśli i szarpie się bezsilnie.

– Przestań ciągnąć, przecież najpierw trzeba poluzować.

Weronika cofa się i po raz drugi obraca. Ponownie za szybko.

– Zaraz zaklinujesz pas – podnosi głos brat.

Siostra siada prosto, opiera głowę o zagłówek, przymyka oczy i głośno wzdycha. Bierze pas w prawą dłoń, ostrożnie go odsuwa i obraca się do tyłu. Tym razem się udaje.

– Zostaw to, musimy jechać.

Ignoruje go. Zbiera papiery, ale źle jej to idzie jedną ręką.

– Nie mogę tu stać, ciemno jest, zaraz następny idiota nadjedzie i walnie nas w tyłek. Słyszysz?! – Paweł podnosi głos, bo Weronika manipuluje przy zapięciu. Brat wrzuca bieg i rusza. Ona zostawia przycisk, zamiast tego bardziej luzuje pas i klęka na fotelu, tyłem do kierunku jazdy. – O rany, co ty znowu robisz? W domu poskładasz.

Nie zwraca uwagi na jego słowa, podobnie jak na dźwięk silnika wspinającego się na wyższe obroty. Chce

jej się wymiotować. Zaciska usta i dalej zbiera strony. Gdyby teraz przestała, nie tyle by zwymiotowała, ile się rozplakała. Nie może zostawić rozsypanych kartek. Układa je w stosik i wsuwa między okładki teczki. Łatwiej byłoby je złożyć, siedząc prosto na fotelu, ale wtedy on na pewno zapytałby, co tam ma. Albo zaczęłby zaglądać.

– No cholera, posuń się. – Paweł stuka ją łokciem w biodro. – Kierownicą nie mam jak ruszać.

W głowie jej się kręci, brzuch się buntuje, kark drętwieje, a obojczyk piecze. Wreszcie wciska teczkę do torby, przykrywa rzeczami zebranymi z tapicerki, chwilę walczy z suwakiem.

– Nareszcie – wzdycha brat, kiedy ona obraca się i siada na fotelu. – Dobrze się czujesz? – Spogląda na nią.

– Patrz na drogę. – W jej głosie wciąż słychać irytację.

Weronika sięga po wodę, którą kupiła na stacji, kiedy on tankował. Pije łyk za łykiem. Wierci się, ściska pustą już butelkę, plastik skrzypi nieprzyjemnie. Paweł krzywi się, więc chowa ją do kieszeni w drzwiach samochodu.

Teraz denerwuje się już nie z powodu kolizji, jakiej ledwo uniknęli. Od rana boli ją brzuch, pocą się dłonie i zasycha jej w gardle.

Dlaczego wyciągnęła akta, zrobiła kopie i schowała je do teczki? W imię prawdy, odpowiedziałyby wielu jej kolegów. Na pewno, szybko to sobie potwierdza. Prawda,

sprawiedliwość, rozliczenie, uczciwość, ponoszenie konsekwencji, tak–tak, nie–nie. Gdyby podobnie nie uważała, nie siedziałaby tutaj. To znaczy siedziałyby, przecież do rodziców jeździ i będzie jeździła, ale nie z dłońmi mokrymi od potu i gardłem ponownie suchym. Widać całą butelkę wypła na darmo. Nie, kręci głową, nie ma co szukać usprawiedliwień. Robi to, bo tak jest słusznie.

Boże, będzie boleć.

2

Tata zawsze uczył ją uczciwości. „Prawda i szczerść są najważniejsze”, mówił przy każdej okazji, a mama się krzywiła. „Same problemy”, narzekała pod nosem. On wzruszał ramionami i ciągnął, że przywiązanie do zasad ma swoją cenę. Powtarzał to często, zazwyczaj w kuchni, kiedy Weronika siedziała przy stole nad talerzem z kanapkami. Kolacje, podobnie jak śniadania, jadali oddzielnie, każde w swoim rytmie. Nawet gdyby chcieli, w kuchni w czwórkę by się nie zmieścili. Ale nikt nie zabiegał, by jeść wspólnie. Wszystkim wydawało się oczywiste, że razem to jedynie obiad w niedzielę w dużym pokoju, z rosółem, kurczakami i kompotem.

Mama kręciła się przy zlewie, on pod oknem popijał wieczorną kawę. Zawsze pił o zmierzchu i twierdził, że mu to nie przeszkadza w zasypianiu. Rzeczywiście, spanie miał ustawione jak w zegarku, o dziesiątej mył się w łazience, wkładał piżamę, kładł się do łóżka i po chwili chrapał, a mama, która była sową, przносиła się z gazetą

do kuchni. Tata kończył więc kawę i wykladał o prostolinijności. Natomiast mama już się nakręcała i wypominała mu najświeższe zdarzenia. Jak to spod kiosku Ruchu.

Przed nimi w kolejce stało małżeństwo. Nie byli sąsiadami, ale rodzice znali ich z widzenia, bo mieszkali kilka bloków od nich. Młodzi robotnicy, pracowali w innym zakładzie niż tata. Niczym szczególnie się nie wyróżniali, jak to wtedy, każdy do każdego był podobny i ani luksusów, ani biedy na ulicy się nie widziało, przynajmniej nie na ich nowym osiedlu.

– Daj no, stara, parę złotych na piwo – zaczął on głośno, aż cała kolejka usłyszała. Ona nie chciała, więc dopominał się głośniejsz: – Nie gadaj, tylko dawaj, ty stara kurwo. – Mama przesunęła się, by odgrodzić Weronikę od widoku kłócącej się pary w złudnej nadziei, że odtąd córkę także od dźwięków. Ludzie patrzyli po sobie i udawali, że nie słyszą. Ale nie tata. Wychylił się, spojrział na mężczyznę, a gdy ten ponowił swoje, podszedł i stanowczym tonem zwrócił uwagę, że tak do kobiety oraz w miejscu publicznym mówić nie należy. Nie należy, użył takich właśnie słów, bo w podobnych sytuacjach stawał się poważny i formalny. Staranny, jak podczas kierowania samochodem. Wszystkich zamurowało, faceta, ludzi w kolejce i sprzedawczynię w okienku. Żona awanturującego otrząsnęła się pierwsza.

– Co, dziadu, nie bronisz się, na co masz ręce?! – krzyknęła do swojego męża. Weronika wystraszyła się, że dojdzie do bitki. Ale czy mężczyzna okazał się damskim bokserem, czy zdeprymowała go stanowcza postawa taty, który nieporuszony stał krok przed nim, w każdym razie tylko zmełł w ustach przekleństwo, machnął ręką i odszedł w dół ulicy, gdzie za blokami znajdował się pawilon handlowo-usługowy, w którym mieściła się osiedlowa restauracja serwująca piwo z beczki.

Tata dopijał kawę i mówił, że w życiu należy postępować zgodnie ze swoim sumieniem. Nie bać się mówić tego, co się myśli. A mama ze ścierką w ręce narzekała, że on wszędzie awantury wszczyna i kłóci się z ludźmi. Spojrzał na nią zdziwiony.

– A co mam robić? Wczoraj zabrałem do śmietnika, a tam tyle chleba walało się na ziemi. Aż się za głowę złapałem, nie tylko piętki, kromki, ale całe bochenki pod nogami leżały. A w pojemniku, tym czerwonym, na pieczywo, parę kawałeczków na dnie. Więc miałem to tak zostawić, nie zgłosić do spółdzielni, że muszą mieszkańcom przypominać, by chleba nie wyrzucali, a jak już, to do kosza?

On mówił jedno, a mama drugie. Nie mogła się nadszydzić, że w zakładzie wygrywał plebiscyty na najpopularniejszego pracownika, skoro wszystkich nieustannie się czepiał i wytykał im wady.

Mówili tak do siebie i obok siebie, a Weronika tkwiła między nimi, za stołem. Przeżuwała kanapkę i wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. Ale częściej patrzyła na tatę, bo choć podobne przemowy słyszała często, to jego zdecydowanie i pryncypialność imponowały jej za każdym razem. Czuła dumę, że jedyny w kolejce miał odwagę zwrócić uwagę na niekulturalne zachowanie i dbał, by ludzie chleba nie marnowali. I że w dodatku był najbardziej lubianym pracownikiem w zakładzie.

Przypomniała sobie tę scenę na początku tygodnia, w poniedziałek, kiedy trafiła na jego teczkę w nowo otwartym zbiorze akt. Jak te dokumenty trafiły do warszawskiego archiwum i czemu dopiero teraz zostały ujawnione, nie dociekała. Była zbyt wstrząśnięta. Nie tylko zawartością. Przystudiowała ją starannie, raz, drugi. Miała w tym wprawę, przez jej ręce przeszły tysiące podobnych dokumentów, umiała szybko ocenić ich znaczenie i wagę. Poza pewnymi szczegółami teczka nie kryła w sobie niczego wyjątkowego. Nie powalała na kolana intensywnością współpracy ani ciężarem win, jaki można by szacować na podstawie zawartych w niej doniesień. Najbardziej wytrąciło ją z równowagi poczucie zawodu. Żalu. Wręcz zdrady.

Uczciwość. Prawdomówność. Nie ta szumna i głośna, trafiająca na afisze i do ksiązek, ale zwyczajna, przejawiająca się w codziennych wyborach. Uczył ją przez całe dzieciństwo, że należy postępować słusznie w pracy, w domu, w szkole i na ulicy. Ona słuchała z uwagą. Nasiąknęła tym, wchłonęła w siebie słowa i zachowania. A potem oddawała przez lata, jakby wyciskała z gąbki, jaką się stała, wilgoć nagromadzoną w dzieciństwie. Całe życie temu poświęciła. Przecież poszła do Instytutu, by w nim szukać i bronić prawdy. Tak właśnie, jakkolwiek pretensjonalnie to brzmi. Niektórzy, nawet w pracy, zarzucają jej, że jest zbyt pryncypialna. Zawsze odbierała to jako komplement.

Czy to niewłaściwe, że poczuła się oszukana? Postanowiła zabrać teczkę, położyć przed nim na stół i zapytać, jak mógł? Nie, że podjął współpracę, choć to również bolało. Ale że się sprzeniewierzył. Przez całe życie ją okłamywał. Prawił morały. Głosił kazania z kuchennej ambony, stojąc pod oknem ze szklanką kawy w ręce. Była z niego taka dumna. Wówczas nie umiała tego nazwać, ale imponowało jej, że na co dzień dawał świadectwo temu, co powtarzał w domu. I dziwiła się mamie, że nie podziela jej uczuć. Nie mogła zrozumieć, czemu nieustannie na niego narzeka. Później, kiedy już chodziła do liceum, doszła do wniosku, że mama

zazdrości tacie, bo sama chciałaby być podobna, ale nie ma jego odwagi. Ta konstatacja skruszyła szacunek, jaki wcześniej do niej żywiła, i zapewne w dużej mierze przyczyniła się do jej buntu. Nie tyle przeciw niej, ile w obronie taty. Jego ideałów. A te nagle, po tylu latach okazały się wydmuszką. Skorupą, pod którą skrywał zgniłe jajo. A ona mu wierzyła. Broniła go. Szła jego śladami.

Wiele o tym myślała przez ostatnie dni. Nie mogła spać. Leżała w łóżku z kamieniem w żołądku, który powodował, że nie miała siły wstać. Chciała zagotować wodę, zaparzyć melisę, wypić cały kubek, co zawsze ją uspokajało, nie tyle sam napar, bo w sumie nie wierzyła w moc ziół, ile rytuał, który czyścił głowę, łagodził napięcie, tłumił emocje. Tym razem nie była w stanie się podnieść. Leżała na wznak, patrzyła w ciemność sufitu i próbowała dojść do ładu z myślami. Bezskutecznie. Złe słowa kotłowały się w jej głowie, bo na wszystkie sposoby odmieniała wyraz „wiarołomstwo”. Nie kolaborację, ponieważ o wiele bardziej niż fakt współpracy ze służbami bolała zdrada, jakiej się dopuścił wobec niej. Przeniewierstwo i obłuda, myśli pędziły coraz dalej, a ona była już pewna, że świadomie ją oszukał. Perfidnie. Wreszcie zaczynała na głos wyrzucać te słowa z siebie w ciemność pokoju, jakby liczyła, że uwolnione ulotnią się

i dadzą jej spokój. Ale nie, ciężar szybko sprowadzał je na dół. Przytłaczały z każdej strony. Dopiero kiedy stwierdziła głośno, że dość tego, że pojedzie do domu, rzuci mu akta w twarz i zapyta, jak mógł, mogła się uspokoić. Świadomość, że zdaje test i postępuje zgodnie z zasadami, które głosi – jak się okazało, odwrotnie niż on – przynosiła ulgę.

Jakiś czas temu miała sprawę emerytowanego profesora uniwersytetu. Uznany autorytet, miły i ciepły człowiek. Wielkiej szkody nie uczynił, ale fakt pozostaje faktem. Współpracował. Pod presją, lecz bez przesadnego przymusu. Uprzedziła jego bliskich. Byli przerażeni. Prosił, by nie ujawniać. To było żenujące. Krępujące, kiedy córka z mężem przyszli do nich i przekonywali. Że przecież nikt przez niego nie ucierpiał, a mało kto z kolegów żył, więc po cóż to, skoro nikt nie oczekuje zadośćuczynienia. I że od lat nie udziela się publicznie, ma wnuki i prawnuczkę. Weronika obawiała się, że kobieta popłacze się w biurze. Zacznie błagać. Jakby to oni byli ze służby bezpieczeństwa i mieli komuś życie łamać, co oczywiście było wrazeniem absurdalnym. Niemniej doświadczyła wówczas dziwnego uczucia. Ogromnej władzy. Chłodnej, bezosobowej. Nie poruszyły jej ich prośby, raczej ją zirytowało to, jak starali się wykręcić. Ale wzbudzili w niej nie tyle niesmak, ile obojętność.

Prawda nie może zwracać uwagi na emocje. Powinna być na nie ślepa. Obojętna właśnie. Nie ustąpiła.

Teraz też nie może. Nie może ukryć teczki dlatego, że dotyczy taty. Sprzeniewierzyłaby się samej sobie. Temu, w co wierzy od zawsze. Czemu poświęciła karierę. Życie osobiste. Wszystkiemu, czego nauczył ją tata.